

Nasz człowiek w Houston



Od prawej: Florian Śmieja i Janusz Ihnatowicz, Mississauga, lipiec 2019.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Sądzę, że czas już najwyższy, by przypomnieć seniora poetów polskich w USA żyjącego od lat na Uniwersytecie św. Tomasza w Houston, księdza profesora Janusza Artura Ihnatowicza. Wprawdzie pisałem już o nim, a asumpt do ponownego zabrania głosu dała znakomita monografia, którą mu poświęcono w Rzeszowie.

Ihnatowicz urodził się w 1929 roku na peryferiach Wilna. Jako syn wojskowego znalazł się w 1939 roku w Częstochowie i do niej udało mu się cudem wrócić, kiedy ewakuowany przed wybuchem wojny na Wołyń, został tam zatrzymany przez władze sowieckie. W 1946 roku z rodziną przez Niemcy połączył się z ojcem w Anglii.

Zapytany o wykształcenie odpowiada:

W moją naukę wchodziły prywatne szkoły przed wojną, tajne komplety w czasie wojny, komunistyczne gimnazjum w powojennej Polsce i „reakcyjne” szkoły emigracji, aż bogobojnie skończyłem na katolickim uniwersytecie w Irlandii.

Ukończywszy studia humanistyczne w Dublinie, wyjechał do Kanady. Tam w 1951 roku założył w Toronto swoje gniazdo, ale go nie zagrzał, bo wyleciał wnet na migracyjne szlaki. Wybrał się do Polski i tam wstąpił do seminarium w Kielcach oraz studiował na Akademii Teologicznej w Warszawie. Na księdza został wyświęcony w 1962 roku, a po kilku latach wrócił do Kanady. W 1969 roku został zaangażowany jako wykładowca Patrologii i historii Kościoła na uniwersytecie św. Tomasza w Houston, gdzie pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1997 roku.

Talent pisarski i zamiłowanie do studiów nie kazały długo czekać na obfity i różnorodny plon. Spod jego pióra zaczęły wychodzić utwory oryginalne i przekłady, poezja i proza, obrazki dramatyczne i listy. Pisał po polsku, ale także po angielsku. Przełożył psalmy z hebrajskiego, a dramat Zawieyskiego na język angielski, był w składzie redakcji literackiej Biblii Tysiąclecia. Jerzy Sito już pięćdziesiąt lat temu zauważył, że wiersze Ihnatowicza charakteryzowało „głęboko ludzkie odczucie świata nacechowane przedwczesną mądrością”. Piękną monografię habilitacyjną poświęciła mu dr Alicja Jakubowska-Ozóg („Poeta i świat”, Rzeszów, 2009) i do niej odsyłam zainteresowanych kompetentną i drobiazgową analizą twórczości Ihnatowicza.

Mawia on skromnie o swoim warsztacie poetyckim, że wiersze piszą mu się same, przynajmniej tak powstają ich pierwsze pomysły, a potem następuje długa obróbka. O poezji natomiast powie poważnie, że „poezja to zakon, a nie łąka motyli.” Wymaga od poety pogłębienia życia duchowego. W wywiadzie oświadczył, że „Twórczość każdego płynie jakoś z tego, czym jest, w co wierzy, co jest sensem jego życia”. W kreacji artystycznej widzi zasadniczą rolę woli „Poezja nie powstaje jako wyraz uczuć, ale jako skutek intelektualnych poruszeń woli”. Poeta natomiast musi mieć coś ważnego do powiedzenia. Formie nieco odpuszcza, a nawet kunsztowna wirtuozeria jest mu raczej podejrzana.

Ihnatowicz zaczął współpracować z „Tygodnikiem Powszechnym” oraz miesięcznikami „Więź” i „Znak” w Polsce, a na Zachodzie z „Kulturą”, „Wiadomościami” i „Kontynentami”, a później z „Oficyną Poetów”. Jego debiut poetycki „Pejzaż z postaciami” ukazał się w Londynie w roku 1972, a rok później w Krakowie wyszły „Wiersze wybrane”. Tomik wierszy po angielsku „Displeasure” wyszedł w Londynie w 1975 roku, a w 1991 roku poeta wydał zbiór „Niewidomy z

Betsaidy". Wreszcie w 2004 roku w Rzeszowie opublikował „Epigramat o nadziei i inne wiersze”.

Czymś naturalnym okazało się jego zauroczenie Eliotem, który był bardzo obecny w myśleniu naszej grupy polskich poetów londyńskich. Pamiętam ostatnie lata życia Eliota, studenci Uniwersytetu Londyńskiego recytowali entuzjastycznie jego teksty, a tamtejsze teatry wystawiały sztuki cieszące się ogromnym powodzeniem. Ihnatowiczowi był on bliski poprzez religijne przekonania i wiarę w ocalającą rolę sztuki nie wstydzącej się biblijnych kontekstów. Zafascynowany przemijaniem zmaga się z enigmą czasu, bada go pod najróżniejszymi metaforami, by w końcu ze św. Augustynem „nic nie wiedzieć”, a urzeczony zjawiskiem muzyki gotów zgodzić się z Henrykiem Góreckim i Leszkiem Kołakowskim, że jest ona gościem z innego świata.

Choć, jak zauważyła dr Ożóg, poezja Ihnatowicza zazwyczaj przechodzi od zwyczajności do transcendencji, poeta nie zapomina o przeszłości. Tak mówi o Arkadii dzieciństwa:

W naszym domu nie było mebli tylko przyczajone tygrysy

pluszowe zwierzęta nadymane baloniki

i można je było głaskać i czuć jak pod pluszem

drżą i mruczą ospale koty o oczach z poduszek

wspomina czar domowych uroczystości, pysznie maluje uciechy stołu. We wspomniałym poemacie o Zmartwychwstaniu Pańskim, opisuje stół wielkanocny :

a stół jak ogród

kielbasa jak senny wąż

*gałązeczki wypuszcza
baby jak donice
ciemnych listków pełne
i baranek z chorągiewką
się pasie na głowie rzeżuchy
a wkoło widłak
o kosmatych palcach
i jajka tysiąc omamień
jajka 'oczu oczarowania'
na alleluję
i załamane w karafce słońce
kwitnące wiśniami*

Nic dziwnego, że wszyscy się radują

*i tata woła kurdesz
i wujkowie łyskają spinkami
i ciocie są jak bez*

Odnoszę wrażenie, że to życie samo, autopsja i biografia kształtowały te wiersze, choć poeta bywa często także pod urokiem lektury. Jeśli zaś wiersze jego są istotnie

raczej o świecie, a nie o autorze, to świadczą dobitnie o jego percepcji świata, który nas urzeka i życzymy sobie więcej takich tradycyjnych, staropolskich reminiscencji szczególnie, że żyjemy w kraju gdzie, słowami poety, sielskość jest wypierana przez egzotykę.

*W imieniu tolerancji i tym podobnych cnót
przepędzono przez Gwiazdkę stado świętych krów
stratowały żłóbek i anioły
i został nam tylko renifer
z czerwoną żaróweczką w nosie
i przerosły krasnal
ciągnący wór z zabawkami.*

Dr Ożóg po solidnych studiach nad twórczością Ichnatowicza wyciąga dobrze umotywowane wnioski.

Pozostaje poetą wymagającym, oferującym czytelnikowi nie proste poszerzenie jego wyobraźni czy docieranie wraz z autorem do tajemnic świata, ale przede wszystkim jego afirmację we wszystkich najbardziej zaskakujących odśłonach, w nadziei, że w ten sposób ukazuje wielkość stworzenia.

Sam autor tłumaczy prościej.

Nie dane mi jest „wielkim głosem śpiewać”. Nie dano mi być prorokiem czy mędrce, lecz igrcem, piewcą zwykłości. Piszę wiersze, by sprawić ludziom przyjemność (...) Jestem taki 'niespieszny przechodzień', co patrzy na rzeczy mijane i opisuje.

Ihnatowicz odwiedził mnie kilka dni temu, godzi się by to spotkanie dziewięćdziesięciolatków uczcić tym skromnym wspomnieniem.

Piękno, poezja i sztuka w dobie cywilizacji obrazkowej

Rozmowa z księdzem profesorem i poetą Januszem Ihnatowiczem



Ksiądz prof. Janusz A. Ihnatowicz, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę księdza, pisze ksiądz już od wielu lat łącząc działalność duszpasterską z twórczością poetycką. Czy księdza poezja ma w jakimś stopniu dotrzeć do konkretnego czytelnika i spełnić rolę katechezy?

Janusz Ihnatowicz: Na pewno odbiorca jest potrzebny, bo pisze się po to, żeby ktoś przeczytał. Ale w momencie pisania nie myślę o nim. Nie mam też na uwadze celów dydaktycznych, ani jakichkolwiek innych.

JSG: W księdza przypadku poezja więc nie ma związku ze stanem kapłańskim, twórczość idzie niezależnym torem?

Ji: Nie wierzę w kapłaństwo poezji, jak to niektórzy nazywają. Przede wszystkim poezja jest na niższym poziomie. Pisanie wierszy to trochę tak, jak bycie kucharką. Pisze się po to, by sprawić ludziom przyjemność.

JSG: Czy wobec tego pierwszoplanową funkcją sztuki jest dla księdza funkcja estetyczna?

Ji: Tomasz z Akwinu powtórzył za Grekami definicję piękna - *pięknymi nazywamy rzeczy, które podobają się, gdy się je ogląda (Summa teologiczna)*. Jeśli sztuka mi nie sprawia przyjemności i muszę się męczyć przy odbiorze, to może zawierać dobrą informację i pokłady głębokiego myślenia, ale dla mnie nie jest dziełem. Oczywiście nie oznacza to, że rzecz ma być łatwa. Np. niektóre utwory Eliota są trudne, ale już pierwsze czytanie sprawia zadowolenie.

JSG: Wspomniał ksiądz Eliota. Jakich poetów wymieniłby ksiądz jako swoich mistrzów poetyckich?

Ji: Mistrzów mamy różnych w różnych okresach życia. Gdy byłem młody miałem ograniczony dostęp do polskiej literatury. W wieku 17-18 lat moja znajomość literatury pochodziła jedynie z antologii. W Anglii nie mieliśmy tekstów, podręczników. W latach 40. młodzi ulegali modzie, wyśmiewali Słowackiego, a czytali Norwida. Potem przyszedł czas Gałczyńskiego. Próbowaliśmy go naśladować. Z angielskich pisarzy na pewno cenię T.S. Eliota czy Dylana Thomasa. Ale nie wiem czy ich można nazwać mistrzami. Podpatruje się różne ich sztuczki. Na tym rzecz polega.

JSG: Czy ksiądz się utożsamia z grupą poetycką „Kontynenty”, powstałą w powojennym Londynie?

Ji: Mój związek z „Kontynentami” jest trochę przypadkowy. Na pewno wiekowo

pasowałem do tej grupy, bo wszyscy kończyliśmy uniwersytety w tym samym czasie. Wokół „Kontynentów” tworzy się teraz mistyczna aura. Tak na prawdę wszyscy młodzi tam pisali, bo to było jedyne pismo, w którym mogli drukować. Dostać się do „Wiadomości” nie było tak łatwo. Ja dostałem się tam dopiero w latach 50., a przez parę lat, do 1958 roku drukowałem w „Kontynentach”. Potem wyjechałem do Ameryki i kontakt się urwał. Poszliśmy swoimi drogami.

Podejrzewam, że te masowo powstające utwory nie były wiele warte. Mieczysław Grydzewski wykazał się zmysłem krytycznym, skoro nie wszystko chciał drukować. Takich ludzi, którzy chcieliby być poetami zawsze jest bardzo dużo. Wtedy do Anglii różnymi drogami trafiła duża grupa Polaków. Ponieważ na emigracji nie było normalnych warunków, szkolnych pisemek itd., gdzie można było się „wypisać”, to taką rolę spełniał „Merkuriusz” czy „Kontynenty”. A dlaczego pisano po polsku, a nie po angielsku, to każdy miał na ten temat inną odpowiedź.

JSG: Jak to się stało, że pod koniec lat 50. zdecydował się ksiądz wrócić do Polski?

Jl: Namówił mnie m.in. biskup Kaczmarek. Ściągnął mnie ze Stanów i Zygmunta Pioniera z Francji. Wszystkim się wydawało, że Władysław Gomułka otworzy drzwi dla Kościoła i będzie można coś dobrego w Polsce zrobić. Teraz wiemy, że 1956 roku Gomułka lawirował, żeby się dostać do władzy, a potem, w 1958 wycofał obietnice i wszystko wróciło do starej normy. Tak więc ani Pionier, ani ja nie dokonaliśmy niczego specjalnego.

Skończyłem w Polsce Seminarium Duchowne w Kielcach, przez rok byłem na Akademii Teologicznej w Warszawie, a potem, w 1966 roku udało mi się wyjechać na studia do Kanady i już zostałem.



Kaplica przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Po takim wyjeździe pewnie miał ksiądz kłopoty z przyjazdem do Polski. Kiedy udało się księdzu ponownie przyjechać do kraju?

Ji: Po raz pierwszy dostałem wizę dopiero w 1981 roku, gdy powstała „Solidarność”. Miałem przyjechać do Kielc na rok akademicki 81/82, aby wykładać w seminarium. No, ale stan wojenny temu przeszkodził, bo anulowano wszystkie wizy. Następną wizę dostałem w 1987 roku. Wtedy byłem w Polsce przez 6 miesięcy i wykładałem w Kielcach. I od tego czasu praktycznie co roku jeżdżę do Polski.

JSG: Jak ksiądz wspomina swoje pierwsze tomiki wierszy?

Ji: Pierwszy został przyjęty do druku przez PIW w 1958 roku, ale nigdy się nie ukazał, bo zdjęła go cenzura. Wydał go dopiero „Znak” w 1971 roku pt. „Wiersze wybrane”. W międzyczasie w Londynie u Bednarczyków w „Oficyinie poetów i

malarzy” wyszedł kolejny, drugi tomik. Trzeci ukazał się na początku lat 90. w Warszawie, wydany przez wydawnictwo „Lumen”, które już nie istnieje. Wydawnictwo padło, właściciel zmarł i nikt nie wie, co się stało z książkami, które nie zostały rozprowadzone. W tym czasie wyszedł angielski tomik.

JSG: Księdza wiersze są też w różnych antologiach.

Jl: Tak, w wielu, sam nie wiem za bardzo w jakich. Na pewno w antologiach „Kontynentowców”. W antologii poezji emigracyjnej, która wyszła w Polsce, cenzura nie puściła moich wierszy. Natomiast w antologii „Ryby na piasku” wydanej w Londynie znalazło się kilka moich tekstów. Karl Dedecjusz umieścił mnie w swoich antologiach - „Lektion der Stille” i w kilkutomowym wydawnictwie. Dedecjusz robił dobre tłumaczenia. Muszę przyznać, że jeden mój wiersz w wersji niemieckiej jest lepszy od oryginału.

JSG: Co ksiądz sądzi o obecnej poezji emigracyjnej?

Jl: Trudno mi coś sądzić, bo bardzo mało wiem na ten temat. To, co czytam nudzi mnie w sposób nieludzki. Pewnie jestem uprzedzony. Kiedyś jeden z angielskich poetów powiedział: są dwa rodzaje ludzi, ci którzy czytają wiersze i ci którzy je piszą. Więc ja stosunkowo niedużo wierszy czytam. To, co do mnie dociera w pismach emigracyjnych, polskich czy angielskich, albo jest niezrozumiale i nie wiadomo o co chodzi, albo jest to proza dziennikarska pisana wierszem. Ale, jak mówiłem, jestem uprzedzony, bo jak nie ma rymu, to mi się nie podoba.

JSG: Jaki według księdza wpływ na odbiór piękna mają nowe środki komunikacji? Czy człowiek może zatracić naturalną wrażliwość poprzez ciągły kontakt z komputerową iluzją, oglądając np. dzieło malarskiej sztuki na ekranie, a nie w muzeum?

Jl: Między obrazem w muzeum, a na ekranie w gruncie rzeczy nie widzę wielkiej różnicy. Chociaż puryści twierdzą, że jest. Moi koledzy z Wydziału Sztuk Pięknych pewnie ukamienowaliby mnie za tę herezję. Mnie się wydaje, że problem z mediami polega na czymś innym. Jak to powiedział Marshall McLuhan, przekaz staje się tym, co się przekazuje (*The medium is the message*). Właściwie należałoby zapytać, co jest przekazywane.

JSG: Jakie widzi ksiądz oddziaływanie rewolucji informatycznej, która się odbywa na naszych oczach, na współczesnego człowieka?

Jl: Wpływ komputerów na człowieka jest duży. Ludzie zaczynają żyć w odosobnieniu kosztem kontaktów międzyludzkich. Widać to zwłaszcza u młodzieży, która nie jest w stanie niczego robić wspólnie, siedząc godzinami każdy przy swoim ekranie. Przy tym ogromnym tempie zmian, zatracą się zmysł kontemplacji. W jakimś sensie jest to zubożenie kultury. Kultura jest przecież czymś więcej niż błyskaniem obrazków.

JSG: Świat, w którym żyjemy stał się produkowanymi gotowymi substytutami kultury. Ekran monitora i wirtualna rzeczywistość zastępują obcowanie z drugim człowiekiem, a przetworzony i uproszczony obraz zastępuje słowo.

Jl: Cywilizacja obrazkowa, której jesteśmy świadkami, uniemożliwia ludziom myślenie. Zauważyłem to zjawisko wśród studentów, oni myślą pod wpływem telewizji, obrazek za obrazkiem. Ale związku pomiędzy obrazkami nie widzą. Im jest bardzo trudno czytać tekst, który prowadzi jakiś argument. Oni się w tym gubią. Pisać też nie potrafią. To jest konsekwencja myślenia obrazkami, a nie pojęciami. Obrazkami można dużo uzyskać, ale pojęcia są konieczne i nie mogą być zastąpione. Poza tym cywilizacja obrazkowa likwiduje wyobraźnię. Kiedy dzieciom się coś opowiada, one muszą sobie to wyobrazić. Gdy się dzieciom tylko pokazuje obrazki, nawet najlepsze, ale już gotowe, dziecko jest kształtowane na odbiorcze, a nie twórcze.



Wnętrze kaplicy przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Podczas pracy na Uniwersytecie Łódzkim, na zajęciach z Analizy Dzieła Literackiego, wiele razy próbowałam wytłumaczyć studentom, że nawet najlepsza filmowa adaptacja dzieła literackiego nigdy go nie zastąpi. Obraz to nie to samo, co literatura. Przyszli humaniści jednak argumentowali, że na czytanie lektur nie mają czasu.

Jl: Oczywiście, aby przenieść książkę na ekran, należy tekst bardzo uprościć. Np. „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja. Rosjanie zrobili chyba najlepszą adaptację, która trwała jednak 20 godzin.

W latach 60. jedna z polskich aktorek zaproponowała mi przerobienie „Anny Kareniny” dla potrzeb teatralnych. Miał to być spektakl dwóch osób. Zacząłem

próbować. Wiadomo, że przedstawienie może trwać dwie godziny, nie więcej. Co tu więc ściąć? W końcu doszliśmy do wniosku, że takiej teatralnej adaptacji nie da się zrobić. Jeżeli tekst zetnie się do dwóch godzin, zostanie z niego romans. Ona - żona zdradza męża, a później kochanek wrzuca ją pod pociąg. Medium obrazkowe ma zupełnie inny charakter i inne możliwości, nie może więc zastąpić książki. Czasowo nie jest się w stanie wszystkiego pokazać. Choć niektóre rzeczy można oddać dobrym aktorstwem. Jednym spojrzeniem, czy wyrazem twarzy aktor może pokazać dwie strony tekstu. W latach 50. w Toronto widziałem sztukę, graną przez sławną parę aktorską pt. „Schreck”. Schreck to gatunek ptaka, którego samica zżera samca. W sztuce mąż próbuje uwolnić się od żony i próbuje popełnić samobójstwo. Ostatecznie zostaje oddany przez psychiatrów pod kontrolę żony, która od tej pory staje się jego prawnym opiekunem. On to wszystko słyszy. Jest w sztuce taki moment, w którym On, odwrócony tyłem do publiczności, plecami pokazuje swoją tragedię.

Z polskich ekranizacji bardzo dobry jest, według mnie, „Pan Tadeusz”. Wszystkie opisy zostały zamienione na obraz, dialogi są wierszowane. Właściwie „Pan Tadeusz” został nienaruszony.

JSG: W jakim stopniu w cywilizacji obrazkowej zatracamy granicę pomiędzy rzeczywistością, a iluzją?

Jl: Najbardziej podatne na utratę poczucia rzeczywistości są dzieci i młodzież. Badania psychologiczne wykazały, że ostatnio zaskakująco częste zbrodnie dzieci, w dużej części wynikają z wpływu mediów. Ktoś kogoś zastrzelił, on się przewraca, a w następnym tygodniu znów jest na ekranie. Dzieci i młodzież coraz bardziej żyją w świecie ułudy.

JSG: Co wobec tego należałoby zrobić, żeby nie poddać się wielkim korporacjom, które dla sukcesu finansowego, narzucają nam taką, a nie inną wizję świata?

Jl: Praktycznie jest tylko jedno wyjście, żeby mieć kontrolę nad tym, co wchodzi do naszej wyobraźni - wyłączyć telewizor. Nikt mnie nie może zmusić, żebym patrzył. Ludzie powinni być świadomi, co się dzieje z naszymi umysłami pod wpływem telewizji i powinni starać się to kontrolować. Ale ludzie potrzebują przyjemności

intelektualnej i emocjonalnej. Jeżeli sztuka im tego nie daje, będą zadowalać się namiastkami. Artyści muszą się obudzić i produkować coś, co będzie dla ludzi pożywką, wtedy prawdopodobnie następne pokolenie zacznie wracać do sztuki.

JSG: W takim razie wyjątkowe zadanie ma we współczesnym świecie literatura i literaci.

Jl: Nasz problem nie polega na tym, że się dobrze nie pisze, ale że nikt nie czyta. Społeczeństwo wychowane na obrazkach, nie jest w stanie przyjmować tekstu pisanego. Wyobraźnia już nie działa. Drugi problem polega na tym, że pisarze nie chcą pisać dla ludzi. Piszą dla siebie i nie są zainteresowani odbiorcą, a nawet pogardzają nim. Uważają, że są lepsi od innych. To jest też właściwość innych artystów, nie tylko pisarzy. Jeśli nie podoba ci się mój obraz, to znaczy, że jesteś Filistyn, bo to jest bardzo głębokie. Jeśli pisarze nie chcą pisać, po to, żeby ich czytano, to nie będą czytani. Stosunkowo mało jest książek, pisanych tak jak pisał Sienkiewicz: ku pokrzepieniu serc. A ludzie chcą mieć pokrzepione serca i szukają takich rzeczy. Dlatego, gdy się znajdzie literat, który pisze dla ludzi, to wszyscy go czytają. Takim przykładem jest książka Twardowski. On po prostu do nich mówi.

JSG: Jaką rolę przyjmuje na siebie Kościół w kreowaniu i popieraniu kultury w dobie cywilizacji obrazkowej?

Jl: Kościół ma stosunkowo małe możliwości w dziedzinie kultury. Może popierać pewnych artystów, może być mecenasem sztuki i literatury. Ale co Kościół może promować? W stosunku do sztuki, która przedstawia wizję świata całkowicie przeciwną chrześcijańskiej wizji, Kościół nie ma nic do roboty. Trudno wymagać, że Kościół popierał Andy Warhol'a. Artysta często nie chce zrozumieć, że jego twórczość nie musi być zaakceptowana. Z drugiej strony kler nie zawsze jest wykształcony w tej dziedzinie. Więc często woli kicz od prawdziwej sztuki. Kościół wprawdzie stara się kształcić kler w dziedzinie estetycznej, ale nie buduje muzeum.

JSG: Bardzo dziękuję księdzu profesorowi za rozmowę. Miejmy nadzieję, że *każdy w sobie cień pięknego nosi*, jak pisał Norwid i że w dobie cywilizacji obrazkowej nie zatracimy swojego człowieczeństwa oraz wszelkich wartości.

Ks. prof. Janusz A. Ihnatowicz urodził się w Wilnie 26. VII. 1929 roku. Dzieciństwo spędził w Częstochowie, dokąd rodzice przenieśli się w 1935 roku. Tam też wraz z siostrą Irmą i matką Zofią z Szymanowskich spędził lata wojny. Ojciec Stanisław, zawodowy oficer w wojsku polskim, walczył w kampanii wrześniowej. Następnie przez Francję przedostał się do Anglii. W 1946 roku reszta rodziny do niego dołączyła. Janusz Ihnatowicz zarówno szkołę średnią, jak i studia filozoficzne i psychologiczne ukończył w Dublinie. W 1951 roku wyjechał do Kanady. Wrócił do Polski w 1958 roku, wstąpił do Seminarium Duchownego w Kielcach i do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. W 1962 roku otrzymał święcenia kapłańskie. W 1966 roku znów znalazł się w Toronto. Doktoryzował się w Instytucie Duchowości w Rzymie. Od 1969 roku wykładał teologię i patrystykę na bazylikańskim Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston (*University of Saint Thomas*). W 1997 roku przeszedł na emeryturę. Jako *professor emeritus* ciągle ma kontakt z uczelnią.

Poeta, krytyk literacki i tłumacz. Debiutował jako poeta w 1954 r. w pismach londyńskich wierszami opublikowanymi w miesięczniku „Życie Akademickie”, prozę publikował w tygodniku „Życie”. Literacko związany był z grupą poetycką *Kontynenty* skupioną wokół pisma „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Autor przekładów „Psalmów” z hebrajskiego. Wydał tomiki poezji: „Pejzaż z postaciami” (Londyn 1972) i „Wiersze wybrane” (Kraków, Znak 1973). Tom wierszy w języku angielskim „Displeasure” ukazał się w Londynie w 1975 roku. Był m.in. korektorem literackim pierwszego wydania Biblii Tysiąclecia (1965). Tłumaczył na język polski poetów angielskich i amerykańskich (Walt Whitman, Ezra Pound), przełożył też na angielski sztukę Jerzego Zawieyskiego *Sokrates*. Drukował w „Tygodniku Powszechnym”, „Więzi”, „Znaku”, „Kulturze”, „Wiadomościach”, „Oficynie Poetów i Malarzy”.

W 1973 roku otrzymał nagrodę Fundacji Kościelskich. W 2011 roku został uhonorowany nagrodą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. W 1997 r. otrzymał papieski krzyż *Pro Ecclesia et Pontifice*.

Jest członkiem Instytutu Naukowego w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie oraz polskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

(na podstawie Wikipedii).

„Poezja to zakon, a nie łąka motyli”



Ksiądz Profesor Janusz Ihnatowicz

Rozmowa z ks. Januszem Arturem Ihnatowiczem

Edward Zyman: Przypomnijmy na wstępie kilka faktów. Opuścił Ksiądz Polskę w wieku lat siedemnastu, by w 1946 roku wraz z matką i siostrą połączyć się z przebywającym w Wielkiej Brytanii ojcem, oficerem polskich sił zbrojnych na Zachodzie. W Szkocji, w polskiej szkole, zdał Ksiądz maturę, po czym uzyskał dyplom angielski na Uniwersytecie Londyńskim, by w 1948 wyjechać do Irlandii, gdzie w latach 1948-1951 studiował filozofię i psychologię na uniwersytecie w Dublinie. W rok po obronie dyplomu (1952) zamieszkał Ksiądz w Toronto w Kanadzie, skąd w 1958 nastąpił powrót do Polski. Kolejnym etapem były studia w Seminarium Duchownym w Kielcach, gdzie cztery lata później Ksiądz otrzymał święcenia kapłańskie. Następne lata przyniosły kontynuację studiów teologicznych w Warszawie, Ottawie i Rzymie, zwieńczonych uzyskaniem w 1984 roku doktoratu w rzymskim Angelicum. W latach 1969-1997 wykładał Ksiądz teologię na uniwersytecie katolickim St. Thomas w Houston w Teksasie, gdzie mieszka do dzisiaj. Czy w tym skrótowym z konieczności biogramie wszystko się zgadza, a może Ksiądz chciałby wprowadzić doń pewne korekty i uzupełnienia?

Janusz Artur Ihnatowicz: Wszystko się zgadza.

E.Z.: Czy zachował Ksiądz w swojej pamięci okoliczności powojennego wyjazdu do Anglii? W tamtym okresie z oczywistych względów nie było to przedsięwzięcie łatwe.

J.A.I.: Tak, to przecież było dramatyczne przeżycie. Nie tylko sam fakt opuszczenia Ojczyzny. Już teraz nie bardzo mogę sobie odtworzyć moje nastawienie do tego faktu. Wcześniej nieco w paczce kolegów i koleżanek z tajnych kompletów wojennych snuliśmy rozważania o oporze przeciw komunie. Ale już zaczęli zniknąć koledzy poszukiwani przez UB, o których dowiadywaliśmy się, że są w Anglii. Wszystko to czyniło takie wyjazdy czymś mniej „nie-do wyobrażenia”. Zresztą wątpię, czy rzeczywiście miałem jakieś zdecydowane sprzeciwy wobec podjętej przez Matkę decyzji. Natomiast sama podróż przez „zieloną granicę” barką na Odrze i kanale do Berlina była jak z powieści przygodowej. Po paru tygodniach w Berlinie pojechaliśmy pociągiem do stacji bliskiej granicy strefy brytyjskiej. To był najbardziej pełen obaw odcinek, bo w czasie przejazdu przez strefę sowiecką zdradzenie się jako

Polacy wobec współpasażerów przepełnionego pociągu groziło tym, że nas wydadzą władzom sowieckim. Nasz opiekun, Volksdeutsche z Polski, ogłosił, że jesteście Niemcami z Estonii - to miało tłumaczyć braki naszej niemczyzny. Później nocna wielokilometrowa wędrówka do granicy strefy brytyjskiej - ciągnęła obawa, że natkniemy się na patrol sowiecki. A potem to już była „normalka”. Polskie władze wojskowe zaopiekowały się nami, wydały nam karty dipisów i umieściły w słynnym Maczkowie, gdzie doczekaliśmy wiz do Anglii. Cóż, to historia na różne sposoby podobna do wędrówki setek, jeśli nie tysięcy rodzin wojskowych. Czasem żałuję, że nie zmobilizowałem się, by to opisać. Może teraz, jako poeta i profesor na emeryturze, coś na ten temat zrobię.

E.Z.: W latach 50. i 60. był Ksiądz związany z londyńską grupą Kontynenty, zjawiska w historii polskiej literatury wyjątkowego. Czy zgodziłby się Ksiądz z tezą, że ówczesne kontakty z kręgiem młodych polskich poetów, którzy debiutowali na obczyźnie, miały istotny wpływ na Jego późniejszą działalność literacką, a może, powiedzmy to wprost, zadecydowały wręcz o tym, że ksiądz został pisarzem? Po latach w jednym z wywiadów Ksiądz wprawdzie oświadczył: „Nigdy nie tęskniłem za środowiskiem”, nie potrafię się jednak wyzbyć wątpliwości, czy podobnie Ksiądz czuł w tamtym, szczególnym w Jego życiu, okresie. Przecież wówczas, dla młodego emigranta o literackich ambicjach przebywanie wśród ludzi zbliżonych wiekiem, zainteresowaniami i doświadczeniami życiowymi, którzy byli uczestnikami istotnych dyskusji i odbiorcami jego pierwszych prób pisarskich, musiało być z wielu względów znaczące.

J.A.I.: Kontynenty? Na pewno wpłynęły na to, że stałem się poetą publikowanym. Ale wiersze pisałem już wcześniej. Powiedziałbym nawet, że w pewnym sensie nie należałem do tej grupy, bo gdy oni formowali się (w sensie wspólnej działalności wydawniczej) najpierw byłem daleko od Londynu w Irlandii, a potem jeszcze dalej - w Kanadzie. Właściwie tym, który sprowokował moje pierwsze już na poły dorosłe zafascynowanie poezją polską był polonista Czesław Bobolewski w szkole polskiej w Garelochhead w Szkocji. Potem, podczas studiów w Dublinie, było paru kolegów, z którymi czytaliśmy sobie wzajemnie wiersze. Nawet mieliśmy wieczór autorski w „salonach” konsulatu polskiego - wtedy jeszcze Irlandia uznawała polski rząd na uchodźstwie. O ile mi wiadomo - spośród nich tylko ja zostałem zawodowym pisarzem.

E.Z.: Wymienił Ksiądz nazwisko Czesława Bobolewskiego.

J.A.I.: Tak, wspomniałem jego nazwisko, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że pierwszą osobą, która coś we mnie odkryła i zaszczepiła miłość do literatury była pani Różycka, profesorka języka polskiego na tajnych kompletach w I Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Dzisiaj nie pamiętam już jej imienia, wiem natomiast z całą pewnością, że prowadzone przez nią lekcje języka polskiego i przede wszystkim rozmowy z nią były dla mnie wielce inspirujące. Czułbym się niezręcznie, gdybym w naszej rozmowie tym wspomnieniem nie spłacił zaciągniętego wobec niej długu. Natomiast jeśli chodzi o Czesława Bobolewskiego, był to znany i ceniony przed wojną polonista w Grodnie, a od roku 1937 w Harbinie w Mandżurii (gdzie zastąpił Zbigniewa Folejewskiego). Wojna zmusiła go do ewakuacji z Harbinu, później był nauczycielem w różnych szkołach polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Obok mnie do jego uczniów należał m. in. Florian Śmieja. Bobolewski uczył nas, jak powiedział Zbyszek Siemaszko, ekonomii słowa i „jędrej mowy”. Wojciech Jerzy Podgórski w swojej książce *Emigracja walczących* pisze, że ma egzemplarz *Ryb na piasku* z jego uwagami na marginesie.

Wracam jednak do moich początków literackich. Z późniejszej londyńskiej grupy miałem osobisty kontakt tylko z Bolesławem Taborskim, gdy jeszcze żadnego wcielenia „Merkuriusza” nie było. To on zrobił ze mnie kontynentowca, bo zaczął mnie tam publikować. W ich działalności, nawet we wcześniejszym okresie (przed październikiem 56) właściwie nie brałem udziału, poza listami do Taborskiego, z których wyjątki on później tam drukował. To powiedziawszy, muszę przyznać, że moje rozumienie naszej sytuacji, jako poetów piszących po polsku, zgadzało się zasadniczo z tym, jak to inni członkowie Kontynentów odczuwali.

E.Z.: Krytycy, badacze literatury wielokrotnie zwracali uwagę na wyjątkowość tej sytuacji, stwierdzali to także sami członkowie grupy (Czerniawski, Czaykowski, Busza, warto przypomnieć tu także słynne sformułowanie Księdza opublikowane w 1955 roku na łamach „Merkuriusza Polskiego”: „My widzimy kulturę polską przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej. My Słowackiego czytamy na tle topoli Sekwany, na tle ścian Stratfordu”). Język angielski nie „kusił” w sensie poetyckim?

J.A.I.: I to jest chyba najciekawsza sprawa. Wydaje mi się jednak, że często się przesadza, co do realności naszego możliwego wyboru twórczości angielskiej. Poza może Andrzejem Buszą, nasz kontakt z kulturą angielską dokonał się w wieku, gdy już byliśmy dość uformowani językowo i kulturowo. Nasza wyobraźnia była wyobraźnią Polaków. Choć to prawda, jak pisałem do Taborskiego, że my spoglądamy na Wisłę od Tamizy, że mamy tendencję do spoglądania na poezję polską przez soczewkę poezji anglojęzycznej, że to jednak Wisła a nie Tamiza jest rzeką naszej wyobraźni, a poezja angielska jest odświeżeniem naszej polskiej literackiej mowy. Szereg z nas wyprodukowało angielskie wiersze, lecz te - z wyjątkiem najmłodszego z nas Buszy, który po latach zarzucił język polski - zawsze chyba były czymś ubocznym. Osobna sprawa to problem tłumaczenia siebie i innych na angielski.

E.Z.: Domyślam się, że siebie tłumaczył Ksiądz raczej niechętnie, skoro w *Poezjach zebranych* znalazł się wydany w 1975 roku w Londynie anglojęzyczny tom *Displeasure*.

J.A.I.: Początkowo zakładałem, że tom będzie zawierał tylko wiersze polskie. Redakcja jednak postanowiła, że poezje zebrane to znaczy wszystkie wiersze publikowane. O tłumaczeniu tych wierszy nie było mowy, ile to by czasu zajęło. Istniało szereg przekładów Beaty Tarnowskiej. Kilka ukazało się we „Frazie”, inne w częściowych cytatach w jej książce *Między światami*. I tu powstał pewien paradoks, bo szereg wierszy w pierwszej części *Displeasure* to wersje angielskie wierszy, które się wcześniej ukazały w polskich tomikach. Także tłumaczyłem wiersze, które ukazały się w wydanej w Kanadzie antologii *Seven Polish-Canadian Poets (1984)*. Ale ma Pan rację, że mój stosunek do moich własnych i innych tłumaczeń moich wierszy (i to w obie strony) jest dość ambiwalentny; najczęściej produkt otrzymany sprawia poczucie niedosytu, zwłaszcza od strony dźwięku i rytmu, a więc czegoś, co dla mnie jest istotne w poezji.

Wracając do Pana poprzedniego pytania o potrzebę polskiego poetyckiego środowiska, zwłaszcza rówieśników. Nie miałem tutaj wyboru, bo takiego środowiska nigdy nie mogłem mieć. W Kanadzie utrzymywałem sporadyczne i przyjacielskie kontakty z Danutą Bieńkowską, lecz poezja nie była ich podstawowym, głównym wątkiem. Kontaktowałem się też z Iwaniukiem, Jadwigą i Adamem Tomaszewskimi,

także Zofią Bohdanowiczową, ale to było już inne pokolenie. Być więc może, że to życie tak moją psychikę literacką uformowało, że straciłem poczucie potrzeby tego, czego nie mogłem mieć. W czasie mojej młodości mój romans z poezją odbywał się całkowicie *via* książki. I tak pozostało: moje pisarstwo nie potrzebowało i nie potrzebuje podniety poetyckiego „środowiska”.

E.Z.: Pierwsze wiersze zamieścił Książd na łamach londyńskiego „Życia Akademickiego” w 1954 roku. Później były publikacje na łamach „Merkuriuma Polskiego” i „Kontynentów”, druk w zredagowanej przez Adama Czerniawskiego antologii *Ryby na piasku* (1965), opracowanej przez ks. Bonifacego Miązka antologii współczesnej poezji kapłańskiej *Słowa na pustyni* (1970), ale pierwszy samodzielny tom księdza *Pejzaż z postaciami* ukazał się nakładem Oficyny Poetów i Malarzy dopiero w roku 1972, a więc w 43 roku życia. Co było przyczyną tak późnego debiutu książkowego? Uwarunkowania emigracyjne? Wybory i preferencje osobiste? Szczególny rodzaj pisarskiej perfekcji?

J.A.I.: Późny debiut to nie był mój wybór, ale władz PRL. Po przyjeździe do Polski miałem przyjęty w PIW-ie tomik (z tytułem *Tygrys*). Potem, chyba dlatego, że wstąpiłem do Seminarium, po kilkuletnim zwlekaniu wycofali się z tego. W zmienionym i poszerzonym składzie książkę chciał wydać ZNAK, ale przez szereg lat cenzura wykreślała ją z planu. Podobnie wykreślono mnie z antologii poetów *Kontynentów Opisanie z pamięci* wydanej w 1965 roku w Polsce. Ostatecznie zdecydowałem się opublikować coś w Londynie. I tak się stało, że ostatecznie pozwolono ZNAK-owi na wydanie *Wierszy wybranych*. Oba tomiki drukowane były w tym samym czasie, ale Oficyna zdążyła *Pejzaż z postaciami* opublikować w roku 1972. Inna sprawa, że zawsze miałem i mam dość *laissez-faire* nastawienie do zabiegania o publikację moich utworów.

E.Z.: Wróćmy na chwilę do naturalnych w sytuacji, Księdza i Jego przyjaciół z *Kontynentów*, inspiracji literaturą angielską, co zaowocowało bogatą działalnością translatorską. Wyrazem tego są m. in. zamieszczone w *Poezjach zebranych* tłumaczenia wierszy Audena, Hopkinsa, Yeatsa, Pounda, Thomasa czy Cummingsa. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że była to działalność dwustronna, bo przecież Książd, Czerniawski, Czaykowski, Busza, Sito, Taborski i inni tłumaczyli także „w drugą stronę”, przyswajając czytelnikowi anglojęzycznemu interesujące zjawiska

literatury polskiej. Stwierdziłem, że w przypadku twórców ukształtowanych w dwóch (lub więcej) kulturach to rzecz równie cenna, co zrozumiała. W tym jednak konkretnym przypadku chciałbym zapytać o coś, co dotychczas nie było wyraźnie podkreślane. Ksiądz wrócił do kraju w 1958 roku, rok później do Polski przeniósł się Jerzy Sito, który został redaktorem „Współczesności”. Był to czas, gdy w polskiej poezji dokonywały się ważne procesy przewartościowań zapoczątkowane w połowie lat pięćdziesiątych znaczącymi tomami Mirona Białoszewskiego (*Obroty rzeczy*), Zbigniewa Herberta (*Struna światła, Hermes, pies i gwiazda*), Tymoteusza Karpowicza (*Kamienna muzyka*), wydanych w 1956 przez Wydawnictwo Literackie tomem *Wierszy* Andrzeja Bursy. A przecież warto wspomnieć także o poezji Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza czy Tadeusza Nowaka. W prozie był to m. in. okres głośnego debiutu Marka Hłaski. Toczyły się w tym czasie (przede wszystkim na łamach „Współczesności”) burzliwe nierzadko dyskusje literackie. W 1960 roku nakładem wydawnictwa PAX ukazał się tom *Poezje wybrane* T. S. Eliota z esejem Wacława Borowego, przyswajającym polszczyźnie tego ważnego, nie tylko dla debiutujących w owym czasie autorów, poety. Przypuszczam, że były to zjawiska dla Księdza z wielu względów inspirujące.

J.A.I: Inspiracje, czy tylko świadomość tego, co się dzieje? Zaczniemy od sprawy najłatwiejszej – Eliota. Przypuszczam, że ten tom tłumaczeń dotarł do mej świadomości, ale nie bardzo pamiętam. Na Eliota nie musiałem czekać na tłumaczenia, był on w mojej świadomości od dawna. Co do innych, chciałbym odróżnić dwie sprawy. Pierwsza to zaistnienie autorów wymienionych przez Pana (a można by dodać i innych). Naturalnie po powrocie do Polski spotkałem się tymi książkami. Z wymienionych Mirona Białoszewskiego znałem osobiście, często bywałem u niego nie tylko na spektaklach, ale na dziennych pogaduszkach przy herbacie. Nawet dał mi zgodę na wystawienie *Szurów* w teatrze kleryckim w Kielcach. O ile mi wiadomo była to pierwsza prezentacja jego sztuki poza jego własnym „teatrem osobnym”. Czytałem i czytam wiersze tego poety z przyjemnością, bo podziwiam jego wirtuozerię słowotwórczą i zabawy językowe. Ale nie była to chyba inspiracja w jakimś bardziej istotnym sensie. Podobnie z Harasymowiczem. Trochę moich wierszy „na manierę pseudoludową” styka się z jego twórczością, czytuję go do dziś z przyjemnością, ale nie widzę w nim jakiejś inspiracji. Co do innych wymienionych przez Pana autorów? Szczegóły już mi się zatarły w pamięci.

Natomiast, mógłbym zrobić listę innych nazwisk z tego okresu. Trzeba też pamiętać, że wtedy, przeszło pół wieku temu, nie wstawiono ich jeszcze do narodowego panteonu. Byli to młodzi ludzie w gromadzie innych piszących wiersze. Atmosfera skandalu wokół takich autorów jak Hłasko miała więcej do czynienia z polityką owego czasu niż literaturą. Kto, na przykład, czyta dzisiaj *Poemat dla dorosłych* Ważyka? Inna sprawa to owe „procesy przewartościowań” i płynące z tego dyskusje we „Współczesności” (i gdzie indziej). Trzeba pamiętać, że w roku 1958 już się one dopalały. Wydały mi się też nieco zaściankowe, bo wyrastające z problemów małego zakątka komunistycznego raju. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to postulaty różnej maści reformatorów sprawiały na mnie wrażenie wyważania drzwi dawno w literaturze świata zachodniego otwartych. Osobiście nie musiałem się wyzwalać z zauroczenia komunizmem, a terror stalinizmu mnie ominął. W przeciwieństwie też do Sity czy Taborskiego nie przyjechałem, by się włączyć w jakąś wersję tworzenia socjalizmu z ludzką twarzą. A moje parę miesięcy po przyjeździe bycia prawie celebrytą oscylującym między „katolikami” a „reżymowymi literatami”, którzy mnie chcieli od tych „katolików” uwolnić, przekonało mnie, że te gazetowe burze to próżne gadanie bez wielkiego wpływu na to, co rządzący PRL uczynią. Zresztą przyjechałem do Polski by zostać księdzem a nie działaczem literackim. Moje stosunki z literaturą ograniczały się do czytania tego, co mi odpowiadało.

JANUSZ A. IHNATOWICZ



POEZJE ZEBRANE

E.Z.: Wspomniałem o tomie Eliota i kilku zjawiskach charakterystycznych dla polskiego życia literackiego i intelektualnego w latach Październikowego przełomu z tego przede wszystkim względu, że wiązały się one w przypadku Księdza, jak sądzę, z istotną zmianą optyki. To, co z perspektywy Londynu czy Toronto jawić się musiało niezbyt precyzyjnie, po przyjeździe do Polski ukazało z pewnością pełną gamę barw, niuansów i znaczeń.

J.A.I.: Na pewno jakaś zmiana optyki zaistniała. Muszę przyznać, że mój kontakt z poezją polską do roku 1958 ograniczał się prawie do klasyków poznawanych z paru antologii. Nie mogłem, tak jak koledzy w Londynie, korzystać z Biblioteki Polskiej. Literatura powstająca w PRL, poza nielicznymi wyjątkami, była dla mnie w dużym stopniu prawdziwa *terra incognita*. Obawiam się jednak, że nadal pozostałem w pewnym stopniu *outsiderem*, który z przyjemnością czytał nowo odkrytych poetów, lecz którego zanurzenie się w przywołanej przez Pana „gamie barw i niuansów” było czymś mało interesującym. To w inne sprawy zanurzyłem się zdecydowanie.

E.Z.: Skoro obcujemy z poezją kapłana łatwo, niejako automatycznie, narzucają się skojarzenia, że musimy mieć do czynienia z poezją w wąskim rozumieniu tego słowa religijną. Twórczość Księdza temu wyraźnie zaprzecza. Powołanie kapłańskie wchodzi w przypadku Księdza z powołaniem poetyckim w związku bardziej złożone, rzekłbym: egzystencjalnej natury. W każdym razie wiersze jakie znalazły się w *Poezjach zebranych* nie sposób nazwać laboratorium Jego myśli teologicznej, co byłoby zasadną kategorią opisu poezji na przykład ks. Jana Twardowskiego czy Karola Wojtyły.

J.A.I.: Ma Pan rację. Jak to często powtarzam, moja poezja nie jest „poezją kapłańską” w sensie nadanym temu wyrażeniu przez Stefana Sawickiego: „Rzecz o specyficznych aspektach życia kapłańskiego lub wypowiedź o świecie z wnętrza kapłańskiego doświadczenia”. Nie jest to nawet „poezja teologiczna” – jak Wojtyły. Nie mając umysłowości filozoficznej nie potrafię tworzyć wierszy filozoficznych czy metafizycznych, które są jakby ubranym w symbole i obrazy zamyśleniem nad ważkimi problemami świata i egzystencji. Moje wiersze to raczej próby opisu konkretnych wypadków i zwykłych sytuacji ludzkich oparte o intuicyjne przecucie ukrytego w tych wydarzeniach jakiegoś „drugiego dna”, dotknięcie którego przez opis w wierszu da czytelnikowi tę radość, która płynie z przeniknięcia poza

banalność powierzchownego tylko poznania świata i własnej egzystencji. Jak napisała w innym kontekście Beata Obertyńska, „Szczęście nie ma być wielkie by było doskonałe”. Może płynąć z głębszego i bardziej sympatyzującego zobaczenia „Popołudnia podwórzowego burka”, jak i dramatu wojennego zniszczenia. Mam nadzieje, że moje wiersze w tym sensie są kapłańskie i chrześcijańskie.

E.Z.: Jako czytelnik nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Równocześnie jednak nie sposób nie zauważyć - co podkreśla Alicja Jakubowska-Ożóg, redaktorka *Poezji zebranych* i zarazem autorka do nich wstępu - że wiersze Księdza nierzadko „przywołują autorytet Biblii” i że jest ona w nich obecna nie tylko w postaci cytatu, aluzji czy parafrazy, ale nade wszystko „w sposobie ujmowania ludzkiej egzystencji, wykorzystywana jako dyskretny komentarz do rzeczywistości nie pozbawiony często ironii czy sarkazmu”. Na potwierdzenie tak sformułowanej tezy można przytoczyć takie piękne, głębokie wiersze jak „Krajobraz wewnętrzny”, „Balaam”, „Niewidomy z Betsaidy”, „W poszukiwaniu straconego domu”, „Elegia na śmierć Kosówki”, „Powrót wygnańców” czy „Upadek zachodniego świata” - wymieniłem kilka zaledwie przykładów. W innym miejscu przywołana autorka napisze wprost: „Poezję autora *Niewidomego z Betsaidy* należy widzieć jako swego rodzaju palimpsest, w którym w różny sposób poprzez bezpośrednie nawiązania, stylizacje, inkrustacje motywami, postaciami prześwieca obraz *Księgi*”. To bardzo trafna, moim zdaniem, interpretacja.

J.A.I.: Bardzo pochlebna ta opinia pani Jakubowskiej-Ożóg, mam nadzieję zasłużona. Ale tutaj potrzeba ostrożności. Takie nasycenie „językiem biblijnym” może być tylko skutkiem podobnego nasycenia potocznej kultury polskiej. Nie musi być ono dowodem osobistego przyjęcia biblijnej wizji świata. Przykłady z polskiej, i nie tylko polskiej literatury można by mnożyć. Choć jak się sprawa ma, da się na ogół poznać przez analizę roli, jaką spełnia ten język w poszczególnych utworach.

E.Z.: Obszerny tom *Poezji zebranych* stanowi (niepełny) plon blisko sześćdziesięcioletniej działalności twórczej Księdza. Od pewnego momentu preferuje Książ formę krótką, często epigramatyczną, która przynosi skondensowane rozpoznania, a także pytania dotyczące istoty ludzkiej egzystencji. I znowu tytułem przykładu przytoczyć można kilka wierszy: „O zachodzie słońca”, „O ptasie skrzydło”, „Statek widmo”, „Epigramat o nadziei”, „Do drzwi dochodząc”. W jednym z nich udziela Książ wręcz dowcipno-przekornej odpowiedzi ma pytanie „Dlaczego

piszę krótkie wiersze”.

J.A.I.: Najprostsza odpowiedź: bo się starzeję. Przyszło to bez żadnego mojego zamierzenia, naturalnie. Zenon Ożóg pisał kiedyś o cechach charakterystycznych „poezji senilnej”. Krótkość może być taką cechą. Starzy ludzie szybko się męczą. Przywołany przez Pana wierszyk daje odpowiedź właśnie w tych kategoriach. Człowiek się łatwiej wyczerpuje. Ale można na to spojrzeć od strony pozytywnej: nie chodzi tu tyle o krótkość, co o zwartość. Moim zdaniem najbardziej przejmujący późny wiersz Mickiewicza to właśnie pięciolinijkowe „Połały się łyzy”. Gdy się złączą dojrzałość starości (jeśli się do takiej dojdzie!) i opanowanie rzemiosła, człowiek może dojść do sedna sprawy „na skróty” i znaleźć metaforę, która to wyrazi.

E.Z.: Podrażmy przez chwilę ów problem „dojrzałej starości”, choć w nieco innym aspekcie. Poezja Księdza nigdy nie była przesadnie optymistyczna, sporo w niej wizji ciemnych, apokaliptycznych, a przywołany przed chwilą badacz, charakteryzując tom *Niewidomy z Betsaidy*, stwierdził, że jest on naznaczony „w nieporównanie większym stopniu niż cała dotychczasowa twórczość, piętnem śmierci”, co pozwoliło mu przywołać obecne, jego zdaniem, w wierszach Księdza „poczucie fatalizmu losu człowieka”. Swe wnikliwe i interesujące skądinąd refleksje badacz ów kończy następującą tezą: „Wydaje się, że te wyznania, których tematem jest negatywny stosunek zarówno do życia, jak i do śmierci, stanowią raczej wyraz kryzysu duchowego. Nie ma tu buntu, rozpacz, ale męskie wyznanie obawy, lęku wobec nieuchronnie uciekającego czasu”. Czy Ksiądz gotów przyznać, że przytoczone sformułowania trafnie oddają Jego życiową i pisarską filozofię?

J.A.I.: Owe psychoanalizy krytyków literackich sprawiają mi satyryczną radość. Nie bardzo jednak rozumiem dlaczego świadomość „nieuchronnie uciekającego czasu” ma być „wyrazem kryzysu duchowego”. W pierwszym rzędzie świadczy raczej o wyleczeniu się z choroby młodości, wiary we własną nieśmiertelność (i to nieśmiertelność, która jakoś zaneguje rzeczywistość śmierci – co, jak ktoś powiedział, jest dobrą definicją piekła). Moja „filozofia” to rzeczywiście wiedza, że „wszystko mija”, ale nie jest to wiedza pełna strachu czy goryczy, lecz wiedza wyzwalająca z zależności od rzeczy, w których choćbym nie wiem jak chciał, nie znajdę stałego domu.

E.Z.: W „Pieśni samotnego człowieka” znajdujemy korespondujący z tą konstatacją fragment:

Dom mój wielokroć budowany

rozpłynął się jak zmrok

bo z chcień i snów uwity

ułudy wiecznej namiot

J.A.I.: To jest bardzo wczesny wiersz, powstał w latach pięćdziesiątych. Obawiam się, że nie rozumiałem tego stwierdzenia w kategoriach metafizycznych czy teologicznych, a raczej tylko egzystencjalnych. To takie stwierdzenia młodego człowieka, że wszystkie próby znalezienia kontaktu, domu w tym sensie kończą się niepowodzeniem. To, co miało być domem na życie, okazało się być tylko pokojem hotelowym.

E.Z.: Jako twórca stawiał sobie Ksiądz zawsze wysokie wymagania. Nie wątpię, że mimo absorbującego powołania kapłańskiego, poezji, owej wielkiej pani, jak ją określił Karol Wojtyła, poświęcał Ksiądz należną uwagę. Utwierdzają mnie w tym odczuciu nie tylko same wiersze, ale także jedna z wcześniejszych, z początków lat sześćdziesiątych, wypowiedzi Księdza. Rozważając funkcję i znaczenie metafory, która pozwala „zejść głębiej, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy” stwierdził Ksiądz wówczas, że „poznaje się istotę świata (ut cognitum ut appetitum) przez głębsze poznanie samego siebie”. I dlatego, tak brzmiała konkluzja wywodu: „poeta ma obowiązek wobec samego siebie pogłębiania swego życia duchowego. Poezja to zakon, a nie łąka motyli”.

J.A.I.: Nie wiem czy sformułowałbym to w ten sam sposób obecnie, ale podstawowa myśl jest wciąż moja. Godzę się z Wojtyłą, że „Poezja to wielka Pani” (choć może nie tak wielka jak on uważał – mniej we mnie dziedzictwa romantyzmu). Dlatego nie można jej traktować „per nogam”. Stąd obowiązek pisania dobrze, i nie jest tu błahą sprawą opanowanie rzemiosła. Ale chodzi o coś więcej. Poezja musi płynąć ze szczególnego rodzaju wiedzy. Inaczej wiersze staną się pustym przelewaniem pięknych choćby słów, lub taką czy inną „propagitką”. I tu sprawa metafory, która

jest dla mnie podstawowym językiem poezji. Metafora, czy bardziej ogólnie stworzenie symbolu, to próba uchwycenia i zakomunikowania owej intuicji „drugiego dna” rzeczy, owego zejścia w głąb, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy. A zdolność do takiego spojrzenia w głąb wymaga dyscypliny intelektualnej i moralnej, czy ogólnie egzystencjalnej, bez niej człowiek ślizga się po powierzchni od podniety do podniety. Tak więc poważne traktowanie siebie jako poety, poważne traktowanie Poezji, wymaga podwójnego trudu opanowania medium i opanowania siebie. I tu podobieństwo do zakonu. Kto nie jest na ten trud zdecydowany, niech się poświęci produkcji cukierków lub sprzedawaniu działek na Marsie.

E.Z.: Wielokrotnie Ksiądz podkreślał, że nie miał ambicji zostania poetą anglojęzycznym. Przebywanie wszakże przez kilkadziesiąt lat na obczyźnie sprawiło, że wiersze Księdza pozostawały, nie tylko ze względów politycznych, poza głównym nurtem także polskiego życia literackiego. Dotyczy to zresztą również poezji innych uczestników naturalnego literackiego eksperymentu, jakim była grupa Kontynentów. Krytycznie wypowiadają się na ten temat m. in. Czaykowski i Czerniawski w wydanym przed kilku laty tomie swych rozmów zatytułowanym *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*. Zwracają w nim m. in. uwagę na preferujące „krajowców” mechanizmy polskiego życia literackiego, w tym charakterystyczne hierarchie tzw. środowiska. Czy fakt ten był, jest przedmiotem refleksji Księdza?

J.A.I.: Nie wiem czy refleksji, bo mało temu poświęciłem czasu i uwagi. Ale to jest na pewno tak zwany „fakt życia”. W jakimś sensie jest to normalna ludzka sprawa kumoterstwa, które działa w tworzeniu tak zwanych elit. Był to dawniej (może nadal jest) problem pisarzy mieszkających na tak zwanej prowincji. Czerniawski z Czaykowskim na to utyskiwali, bo ich irytowało to wykluczenie z salonu. Ja to przyjmuję za jeden z „faktów życia” i nie buntuję się przeciw byciu poetą bardzo „niszowym”.

E.Z.: Dotychczas w naszej rozmowie nie pojawiły się wątki osobiste, prywatne, a myślę, że czytelnika zainteresować by mogło, co wypełnia Księdzu czas poza posługą kapłańską i pisanem wierszy? Czy Ksiądz utrzymuje kontakty towarzyskie z twórcami, zwłaszcza polskimi, osiadłymi na tym kontynencie? Co jest Jego pozazawodową i pozaliteracką pasją? Słowem jak „zagospodarowuje” Ksiądz tak

twórczo owocującą jesień swego życia?

J.A.I.: Obawiam się, że tego czasu poza „posługą kapłańską i pisaniem wierszy”, a przecie także pracą badawczą i pedagogiczną zostawało mi przez życie bardzo mało. I nie tylko o czas tu chodzi, ale – głównie – o inwestycję kapitału intelektualnego i emocjonalnego. Geografia sprawia, że kontakty z twórcami (i w Polsce, i na tym kontynencie) są raczej mizerne i sporadyczne. Obawiam się też, nie mam niczego, co by można nazwać „pozazawodową pasją”. Są naturalnie rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, czy dają radość, którymi wypełniam wolny czas: muzyka klasyczna, dawniej wycieczki wysokogórskie.

Jak zagospodarowuję ową „jesień”? Na razie idę jeszcze „rzędem” i naukowym, i poetyckim. Są rzeczy do skończenia (jak na przykład wydanie *Poezji zebranych*). Ale powoli zamykam mój warsztat naukowy i poetycki. Może spróbuję tłumaczenia – jest kilku poetów angielskich, których chciałbym udostępnić czytelnikowi polskiemu. Ale chyba najbardziej zadawalającym zajęciem emeryta jest żyć i czytać bez pośpiechu. Tyle jest wokół nas rzeczy i słów, którym warto się przyjrzeć, a które, spostrzeżone, sprawiają radość.

E.Z.: Gdy Ksiądz w 1969 roku wybierał Houston jako miejsce swej długoletniej pracy i równie długiego zamieszkania, stawiając pierwsze kroki na swej „nowej planecie”, mniej więcej w tym samym czasie, konkretnie w dniu 20 lipca tego roku, Neil Armstrong przekazał z pokładu Apolla 11 historyczną wiadomość o wylądowaniu amerykańskiego statku kosmicznego na Srebrnym Globie. Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi znajduje się... w Houston. Nie potrafię nie zapytać, jak to dziejowe w życiu naszego gatunku wydarzenie przyjął ksiądz, profesor teologii i poeta?

J.A.I.: Lądowanie na Srebrnym Globie odbyło się na miesiąc przed moim przyjazdem do Houston. Byłem wtedy w Ottawie, w Kanadzie. Naturalnie, byłem zainteresowany i ucieszony tym osiągnięciem naukowym i technicznym człowieka. Ale jako profesor teologii i ksiądz, a może chrześcijanin, nie byłem i nie jestem skłonny traktować go w kategoriach metafizycznych, nie więcej niż, na przykład, dotarcie do bieguna. Inaczej mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy napisanie *Boskiej komedii*, lub muzyki Mozarta, nie ubogaciło duchowego życia ludzkości więcej w tym, co jest na prawdę

zasadnicze.

Mississauga - Houston, sierpień 2012